

Moment



ELIZA ORZESZKOWA

Moment

*Janowi hr. Jundziłłowi
ze słowami szacunku i przyjaźni
przesyła
Autorka.*

Słońce letnie zachodziło; pole, powietrze, niebo, były zupełnie ciche. Cicho od zorzy wieczornej odrywały się i po błękitnem sklepieniu płynęły obłoki złotawe i różane; cicho na wzgórzystem polu kwitły, wśród brunatnych owsów, łubiny ogniste i gryki śnieżnie białe; ciszę powietrza haftowały grubszymi i cieńszymi tonami brzęczenia owadów i świegot ptactwa w dzikich gruszach, na miedzach. Ani najdalszego choćby gwizdania lokomotywy, ani tego turkotu i szumu, który, jak burzę grzmot oddalony, z oddalenia oznajmia wielkie zbiorowisko ludzi; ani nawet na polu pługów i oraczy, bo dzień był święteczny.

Pusto i cicho.

Oprócz przyrody świeżej, wonnej, ukojonej spokojem pięknego wieczoru, nic.

Szmat ziemi pełen wdzięku, lecz bezludny i drzemiący; zakąt świata głuchy, od miejsc jego hałaśliwych i świetnych bardzo odległy.

Jednak, na polu, biała wśród zbóż brunatnych i żółtych, wiła się między wzgórzami droga, prowadząca... dokąd? Trudno byłoby zgadnąć, bo mogło się zdawać, że ku jakiemuś chyba skrajowi świata, na którym kończy się życie ludzkie. Ale życie ludzkie buduje sobie często mrowiska zaledwie widzialne i tak podobne do śmietnisk, że zblizka zobaczyć je trzeba, aby spostrzedz, że są i że napełniają je istoty żyjące.

Do takiego mrowiska wiodła biała droga, wijąca się pośród wzgórzy i zbóż. Jak szklanym kloszem czystym i przejrzystym, ciszą pola, powietrza i nieba otoczone, stało tam małe miasteczko, szare, niskie, podobne do śmietniska.

Uliczki ciasne, z niskimi, poczerńiałymi domkami, z rzędami okienek, wyglądających jak mętne oczy w oprawie zestarzałej, wrota otwarte na podwórka, wybuchające zaduchem, głosami zwierzęcymi i wrzawą dziecięcą. Środkiem uliczek pasy czarnej gru-dy; to błoto, ścięte przez upały letnie, a z obu stron jego ścieżki, podobne do drożyn, któremi chadza twarda bieda i szara ciemnota. Gdzieniedzie, wśród szarzyzny, płot nowy, świecący jaskrawą żółtością, albo brzoza z obwisłymi gałęzmi, wierzba z ramionami powykrecanemi, grusza rozłożysta. U płotów gnijących lasy dzikiego zielska. Tu i ówdzie rudery, belkami sterczącymi w powietrzu i kominami nagimi przypominając kości, ogołoczone z ciała.

Ludzi mało; kiedy niekiedy zaledwie przechodzień, twardą ścieżką przesuający się pod płotami i znikający w cuchnącem podwórku. Trochę psów chudych i smutnych, które leżą u podwalin domów, albo wałęsają się od podwórka do podwórka, zaglądną do ruder, szukając żeru. Głosy tylko dzieci i zwierząt, gdzieniedzie także ptaków: kur, wróbli, lecz rozmowy nie słycać żadnej. Moznaby myśleć, że tu nikt nigdy nie rozmawia. Okienka domów zamknięte; pomimo, że dzień był upalny, a wieczór jest bardzo świeży, wszystkie one są zamknięte. Moznaby myśleć, że tu nikt nigdy żadnego okna na świat nie otwiera.

Brudno i ciasno, smrodliwie i bezludnie.

Nad szlakami czarnej gru-dy zdają się przeciągać powietrzem i na sterczących ruderach zawieszać się chude widma snów leniwych i niezdrowych. Tylko nad omszałymi dachami wzbijają się ku niebu wstęgi dymów przezroczytych, tak, jak płynące po niebie obłoki,

różnych i pozłacanych. Te lotne wstęgi wziąć można za westchnienia, posyłane przez dusze ludzkie ku wysokościami, z nędznych legowisk, na których tarzają się ciała. Tylko u skraju uliczek, tuż przy polu, trochę domków małych, lecz nieco nowszych, świeższych, weselszych niż tamte. Z za szyb drobnych uśmiechają się one barwami kwitnących pelargonii, a z za płotów jaskrawymi twarzami malw i georginii.

Tu gęściej rosną drzewa, częściej na podwórkach gwarzą głosy ludzkie, psy są zważsze i mniej wychudłe, lecz w jednym miejscu dzieje się coś ponurego. Okna jednego z domków, przy niezgasłym jeszcze świetle dziennym, błyskają płomykami palących się świec i wychodzą z za nich odgłosy pieśni basowych i głębokich. Te palące się świece — to gromnice, a te pieśni — modlitwy, wyśpiewywane nad umarłymi. Słysząc też tam płacze kobiece i w ogródku widać człowieka barczystego, który siedzi na ławce z wielką twarzą tak zmartwiałą, że ma pozór rzeźby, wykutej w szarym kamieniu. Ściśnięte pięści, także jak kamienie, leżą mu na kolanach.

Tu, pomiędzy malwy i georginie, w wonnych oddechach pobliskiego pola, zleciała śmierć.

Wszystkie uliczki, jak ciemne strumienie do mętnego stawu, zbiegały się do przestrzeni okrągłej i dość rozległej, otoczonej domami nieco większymi, nowszymi, niż tamte, usiłującymi też naśladować dworki wiejskie: posiadały małe ganki na słupkach, drzewa u ganków i kwiaty u okien. Tylko że drzewa i kwiaty miały pozór zwiędły, a na gankach leżały słomy zmięte, szmaty papierów i płócien podartych, drzazgi, niedopałki, różne odpadki bez kształtu i nazwy, z izb, z wozów podróżnych, z pudeł kupieckich, z rąk przechodniów tu wyrzucane. Nietylko tu, bo zaścielały chropowatą powierzchnię rynku wszędzie, kędy tylko na drodze nie stawały im kałuże. Bo nadaremnie upalny lipiec, przechodząc świat, wysuszał wszystkie wody: te nie ustąpiły przed jego słoneczną pochodnią i stały bez ruchu, bez połysku, podobne do szczelnie zamkniętych i mętnych okien domostw, które otaczały rynek. Zato ganki tych domostw były pełne rozmów, targów, sprzeczek, postaci ludzkich, niezgrabnie ubranych, grubych, szarych, które przed końcem dnia usiłowały kończyć grube i szare sprawy codzienne.

Znać było, że w tem miejscu puls miasteczka uderzał najsilniej, i to także, że roznosił po organizmie krew zgęstniałą i niezdrową. Jak na uliczkach powietrzem wlokły się i na ruderach się zawieszały sny leniwe, tak pomiędzy tymi ludźmi, na rynku, czuć było uwijanie się skrzących, wykrzywionych, gadatliwych widm biedy, zarobku, chciwości i zysku.

Pośrodku zaś rynku było miejsce zupełnie do wszystkiego, co je otaczało, niepodobne, jedyne: kościół niewielki, bardzo stary, od starości głęboko poczerniały, z wązkiemi oknami, w których zorza wieczorna zapalała płomyki rubinowe, ze szmaragdową zielenią trawnika i czystą białością ścieżek, z przezroczystem ogrodzeniem, nad którym odwieczne lipy rozwieszały gałęzie szerokie i silne. Tu panowała czystość niepokalana, rozlewał się spokój taki, jak na przestronnych polach, łagodnie szemrały liście lip, od ziemi były wonie ziół, kwitnących w trawach. Tam zaś, gdzie rozstępowały się nieco stare lipy, stał wyosobniony, całą przestrzenią trawnika z kościołem rozdzielony, bardzo wysoki krzyż. Bardzo wysoki a cienki, linią delikatną i przezystą przebijał powietrze, pełne kurzawy i wrzawy, ramiona rozpościerając na tle różanych światła, które z zachodu płynęły po błękitnie. Wzrok, dążący ku szczytowi jego, wznosić się musiał bardzo wysoko.

Jedyny to był wśród powszechnego pełzania wysoki wzlot. Jedyny tu także dom ze ścianami błękitnymi i ze świeżymi kwiatami w ogrodzie, w pobliżu kościoła i krzyża, rozlegał się z za otwartych okien głosami dzieci, które mówiły o czemś, czegoś uczyły się i nagle zaczęły mówić chórem. W powietrzu rozległy się i ze szczytu wieży kościelnej rozlały się po miasteczku dźwięki dzwonu łagodne, czyste, wołające. Za oknami plebanii, razem z muzyką dzwonu, głosy dziecinne chórem mówiły:

— Anioł Pański zwiastował...

Było to w tej chwili jedyne tu miejsce, w którym usta ludzkie wspominały o Anielskich Zwiastowaniach...

Dzwon kościelny umilkł, natomiast, w oddaleniu, dało się słyszeć inne dzwonicie. Przybywało z pól szerokich i wpadało we wrzawę rynku, zrazu tak niewyraźne, że można je było wziąć za jęk przestrzeni lub za coś takiego, co z przestrzeni nadlatywało jęcząc.

Potem stawało się coraz bliższem, wyraźniejszym; parę osób na rynku słuchać zaczęło. Dzwonek pocztowy! Ktoś do miasteczka przybywa pocztą! Jakoż, niebawem, na rynku ukazała się lekka karetka, w cztery konie zaprzężona. Na koźle, obok pocztyliona z blachą u piersi, siedział lokaj w liberyi.

Wielkie wrażenie na rynku! Kto to? po co? Czy się zatrzyma? Gdzie się zatrzyma?

Mendel Szapir i Chaim Cygler, właściciele dwu jedynych tu domów zajezdnych, przez mętne szyby ścigali karetkę oczyma niespokojnymi. Konkurencya i przytem — karetka, zjawisko bardzo rzadkie! Szapir uśmiechnął się, bo zobaczył na koźle pocztyliona znajomego. Ten pewnie gościa tu przywiezie.

Nie omylił się; karetka przed jego domostwem stanęła. Lokaj zeskoczył z koźła i otworzył drzwiczki, w których ukazała się kobieta z powierzchownością bardzo wytworną.

Czy była piękną? trudno było odrazu rozpoznać, tak wydawała się zmęczoną i cierpiącą. Wśród twarzy bladej, z cerą bardzo delikatną, wielkie oczy z różową u powiek obwódką zdawały się patrzeć nie widząc, pod zsuniętymi brwiami ponure i przygasłe. Bardzo powoli wstępowała na kilka schodów ganku, zlekka szeleszcząc miękką suknią, za którą z przykrym chrzęstem zaczęły się ciągnąć uschłe słomy i zmięte szmaty papieru. Ruchem zupełnie machinalnym podniosła nieco suknię i obejrzała się za siebie, przyczem wielki brylant w kolczyku rzucił snop tęczyowych promieni.

Szczupły i zwinny Mendel Szapir, z twarzą nerwową, z cicha zapytywał pocztyliona:

— Kto to?

Z koźła odpowiedź brzmiała:

— Nie wiem. Zdaleka jedzie!

— A dlaczego nie zajechaliście na pocztę?

— Bo będzie nocować.

Wtedy właściciel zajazdu zwrócił się do stojącej na ganku żony:

— Ruchła! Będzie nocować!

A Ruchła z kolei, oglądając się na kogoś będącego w sieni, zawołała:

— Gitla! pokój gościnny zamiataj!

Rozkaz szybko spełniono, bo przybyłą spotkała w sieni chmura kurzawy, wznosząca się z pod wielkiej miotły, energicznie poruszanej przez dziewczynę niedoroślą, chudą, śniadą, w nędznej odzieży, z ogromną kosą czarną na pochylonych plecach. Miotła, z przeraźliwym szelestem skrobiąc grubą podłogę, podnosiła kurzawę coraz gęstsza, krztuszącą, ludzie wyglądali śród niej, jak niewyraźne widma. Jedno z tych widm, ze słodkim uśmiechem w głosie, przemówiło:

— Niech jasna pani posiedzi sobie na ganku, nim pokój wymiotą. Pogoda taka piękna!

Drugie odpowiedziało:

— Proszę pozwolić mi wejść. Niech pokój zostanie, jak jest. Wszystko mi jedno. Z samego brzmienia głosu można było odgadnąć, że istotnie wszystko jej było jedno. Szła wprost w chmurę kurzawy, krztusząc się nią, lecz jej nie widząc.

Ruchła zawołała:

— Gitla! przestań zamiatać!

Wielka miotła upadła na podłogę; Gitla stanęła u drzwi gościnnego pokoju, jakby plecami do ściany przyklejona. Biedna, chuda, śniada, w nędznej odzieży, miała jednak dwie pyszne ozdoby: wspaniałe włosy krucze i oczy bardzo piękne, z czarnymi jak noc źrenicami na błękitnych białkach. Były też one, te oczy, lękliwe i w głębi niezmiernie smutne. Wpatrywała się niemi w nieznajomą, która w żółtej mgłę nie zupełnie jeszcze opadłej kurzawy ściągała z ręki rękawiczkę. Gdy ją ściągnęła, Gitla zaszepotała:

— Aj, aj!

Ruchła, stojąca w drzwiach otwartych, powtórzyła:

— Aj!

Biała, szczupła, bardzo zgrabna ręka nieznajomej, podnosząc się ku włosom, jak zielonym płomykiem błysnęła szmaragdem pierścionka.

— Może pani potrzebuje czego? — z najsłodszy w świecie uśmiechem zapytała Ruchła.

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Ruchła z eleganckim ukłonem rzekła jeszcze:

— Może pani zaśnie troszkę. Zdaje się, że pani bardzo zmęczona.

— Nie potrzebuję niczego — powtórzyła nieznajoma.

Ruchła wysunęła się z pokoju, ale Gitla pozostała jeszcze. Jej czarne jak noc i jak ciężka służba zahukane oczy tkwiły ciągle w nieznajomej. Jakby ją oczarowało i do miejsca przykuło to zjawisko. Tak różne, jakby na różnych glebach zrodzone, dwie te istoty miały przecież jedno podobieństwo: gardła ściśnięte w srogich rękach losu. Obie były w różne sposoby, ale niezmiernie smutne. Po chwili z koralowych ust Gitli wyszedł chrapliwy, szorstki dźwięk:

— Może samowar przynieść?

Przybyła odpowiedziała:

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Zdjęła przytem kapelusz, z pod którego rozsypał się po czole i plecach deszcz blade-
złoty włosów.

Drzwi zamknęły się z cicha za Gitlą, opuszczającą pokój. W sieni Mendel Szapir za-
trzymał przechodzącego lokaja zapytaniem:

— Kto ona taka?

Lokaj wymówił nazwisko, na którego dźwięk kilka stolic świata odpowiedziałyby
oklaskami i śpiesznym zrywaniem laurów na wieńce. Lecz Mendel Szapir słyszał je pierw-
szy raz w życiu i zapytywał dalej:

Czy ona w mieście, czy na wsi mieszka? Co ona robi?

— Śpiewa! — z drwiącym trochę spojrzeniem odpowiedział człowiek w liberyi.

Mendel zdziwił się.

— Śpiewa? jakto śpiewa? Ciągłe śpiewa? Dlaczego śpiewa?

Lokaj z kilku pudełkami na ramionach chciał iść dalej, lecz Mendel zatrzymał go
jeszcze.

— A dokąd ona jedzie?

— Do swego majątku.

— A gdzie jej majątek?

— O dziesięć mil stąd.

— Wielki majątek?

— Wielki.

Mendel Szapir skoczył ku jednym z drzwi, prowadzących do sieni, wsunął przez nie
głowę i zawołał:

— Ruchła! Sza! Niechaj cicho będzie w domu. To wielka pani! Może ona teraz śpi!

Nie spała. Jasne włosy, które falą rozlały się jej po plecach, zgrabnemi rękoma zgarnęła
i zwinęła z tyłu czaszki niedbale, pośpiesznie, byle jak! byle jak! Potem stanęła u okna,
rozwarła je na oścież i wciągając w pierś powietrze, które wtargnęło do dusznej izby, silnie
splotła i na suknię opuściła ręce. Patrzyła w przestrzeń, lecz znać było, że oczy jej długo
bezsenne, z powiekami zarumienionemi, ani nieba, ani ziemi nie widziały. Wzrok ich
zwrócony był wewnątrz, wpatrzony w jakąś wielką biedę, która, jak posąg kamienny na
sarkofagu, leżała na sercu.

Pokój gościnny w zajezdnym domu Mendla Szapira był, jak całe to miasteczko, bied-
ny, okurzony, brudny. Niedaleko progu śmieci przez miotłę wypadającą z rąk Gitli pozo-
stawione, na ścianach kilka obrazków, okrytych skorupą bez nazwy, na komodzie bukiet
papierowych kwiatów bez barwy obok lampy z kloszem pękniętym. Sprzęty z żółtego
drzewa; plamy, szczyrby, pajęczyny — wszędzie.

Kobieta z brylantami przy uszach, z bardzo białemi rękoma, nie spostrzegając wcale
śmiecia, plam, żółtych sprzętów, kwiatów papierowych i pajęczyn. Wszystko jej było jed-
no. Odwróciła się od okna i powoli szła ku stojącej przy ścianie kanapie. Jakiemikolwiek
były jej uczucia, nad wszystkiemi teraz zapanowało znużenie ciężkie, takie, jakie bywa
tylko po wielkich chorobach ciała i w czasie wielkich chorób duszy. Tylko że w wypad-
kach pierwszych oczy chłoną chciwie i z rozkoszą widoki świata, a w drugich przeciwnie
pragną zamknąć się i usnąć, bodaj na zawsze! Na oczach nieznajomej długa bezsenność
złożyła swoje omglone i różowe piętno.

Z materaca kanapy, przez dziury obicia, wylażyły klaki brudnej pilści i leżała na niej poduszka, z wyszytą niegdyś na kanwie różą monstrualnej wielkości i barwy. Nigdy zapewne na takim sprzęcie nie leżała postać tak pełna wdzięku, w taką poduszkę nie ukrywała się twarz z cerą tak delikatną, na tak brzydkiej poręczy nie opierały się ramiona tak gibkie i tak rozpacznie zarzucone na tak znużoną głowę.

W malowniczych zwojach miękkiej sukni leżała nieruchoma, nie przyzywając nikogo i nie żądając nic. Niczego nie potrzebowała.

Na rynku gwar przycichał, na niebo zaczynał wschodzić księżyc; przez otwarte okno wlatywał zapach rezedy, której trochę zakwitło cudem na wyschłej grzędzie pod oknem.

Nie słyszała, nie widziała, nie czuła nic. Wszystko jej było jedno. Wschodzącego na niebo księżycy nikt w zajezdnym domu Mendla Szapira nie spostrzegł. Zwinny, nerwowy Mendel nie miał ani sekundy czasu na czynienie poetycznych albo astronomicznych spostrzeżeń, bo zobaczył przejeżdżającą przez rynek bryczkę znajomego szlachcica, do którego miał interes ważny, więc co siły za nią pogonił, wołając na całe gardło: „Stój! Stój!”

Ponieważ konie u bryczki biegly dość prędko, Szapir, podnosząc poły długiej odzieży, biegł coraz prędzej i wołał coraz głośniejsze, aż czapka przekrzywiła się mu na głowie i twarz całą w drganiach nerwowych oblał kroplisty pot. U wjazdu do jednej z uliczek bryczka zatrzymała się nakoniec i zziębnięty Mendel, stanawszy przy niej, rozpoczął ze szlachcicem rozmowę długą, o interesie ważnym. Gdzież mu tam było spostrzegać, czy na niebie świeci albo nie świeci księżyc? Ruchła znowu, obok wielu cnót domowych, posiadała tę wadę, że była ogromnie swarliwą i krzykliwą. Może nawet wada ta powstała w niej z cnoty skrętności gospodarskiej, bo często się zdarza, że cnoty ludzkie wyradzają się w przywarę, niemniej sprawiła, że teraz, jak zresztą bywało często, dwie izby, kuchnia i sień domu rozlegały się od nieustannego i coraz wzmagającego się krzyku. Garnek stłukł się. Ruchła, wchodząc do kuchni, ujrzała na ziemi czerepy stłuczonego garnka. Kto był sprawcą nieszczęścia: jedno z dzieci, czy Gitla? Dzieci wypierały się, więc najpewniej Gitla, ta niezgrabna, głupia dziewczka, która zawsze musi w domu szkodę jakąś zrządzić. Pomimo przestrogi Mendla, aby w domu było cicho, Ruchła głośno lajała i dzieci, każde z osobna, i Gitlę, i nieobecnego męża, który wiecznie gdzieś lata, i los swój nieszczęsny, który ją dziś dotknął stratą najpiękniejszego garnka. Głośno krzycząc, głośno także chodziła, bo była otyłą i ciężką.

Niegdyś musiała być dość ładną, bo w tłustej i wiecznie wzburzonej twarzy przeglądały jeszcze linie regularne, a z oczu wyglądał szafir żrenic, przygasły wprawdzie, bo rzecz dziwna! pomimo irytacji Ruchła miała oczy przygasłe bez blasku i po których zaledwie poznać można było, że niegdyś były szafirowe. Takie oczy, w takich szczególnie chwilach, gdy stłucze się w domu garnek najpiękniejszy, żadnym sposobem nie mogą wznosić się ku księżycowi. Co do Gitli, ta, przez Ruchlę sfukana i pięścią w plecy uderzona, porwała wiadro i do studni pobiegła a po chwili wracała z naczyniem pełnym wody, od którego ciężaru niedorosłe jej ciało nisko przeginało się w prawą stronę, a lewe ramię, zdala od ciała w powietrzu wyciągnięte, szmatami podartego rękawa powiewało, jak chorągwią nędzy.

U Chaima Cyglera i żony jego Małki było daleko ciszej, niż w domostwie Mendla i Ruchli, niemniej tam także nikt ani myślał o patrzaniu w górę. Owszem, w izbie pełnej większych, mniejszych i zupełnie małych łóżeczek dziecięcych, z za których można było jeszcze spostrzedz w izdebce przyległej dwie kołyski z bliźniętami, w świetle lampki z sucho sterczącym kominkiem, Chaim i Małka nisko pochylali twarze nad wielką księgą rachunkową. Zgodnem widać byli małżeństwem, bo ustami zgodnie poruszali, jedno-głośnie wymawiając cyfry rozmaite: *zehn, zwanzig, hundert* i t. d. Był to duet szeptów świszczących, który ani razu do słowa: *tausend!* nie dochodził. Pomimo zajezdnego domu i sklepiku z kolonialnymi towarami, Cyglerowie byli daleko bogatsi w łóżeczka i kołyski dziecięce, niżeli w pieniądze. Stąd zapewne pochodziły ostre świsty w ich szepcie, niespokojne migotania oczu i gniewny ruch, z jakim Chaim rękę na księdze rachunkowej oparł, mówiąc:

— Już ja dłużej czekać nie będę! Już ja jej, tej Obuchowskiej, dłużej pobłażać nie będę! Jeżeli za tydzień pieniędzy nie odda...

— Co to za tydzień? Dlaczego za tydzień? Jutro! jutro zrana! — z uniesieniem zagadała Małka.

— Za tydzień — powtórzył mąż.

Żona zgodziła się natychmiast. — Niech będzie, jak powiedziałaś. To co za tydzień...

— Do sądu podam, a potem dom jej wezmę...

— Co to za dom! Chata!

— Niech sobie będzie chata! Ja ją komukolwiek z zyskiem odprzedam. Już dawno byłbym to zrobił, żeby nie oglądał się na jej biedę...

Małka z zapalczywością rzekła:

— Kiedy ona biedna, to na co herbatę pije i kaszę z takich pięknych krup gotuje, za które potem zapłacić nam nie może!

— Ty masz rację, Małka — z kolei zgodził się mąż. — Za tydzień podam na nią do sądu, a za kilka miesięcy odbiorę jej dom!

— Odbieraj! odbieraj! — dokończyła rozmowy Małka, i znowu oboje pochylili twarze nad wielką księgą rachunkową, na której karty, drobnymi cyframi okryte, nie padał ani jeden, najdrobniejszy promyk księżycy.

Jednak księżyc podnosił się na niebie coraz wyżej i światło jego, ukośnie dopiero dotykając ziemi, wydawało się mgłą srebrzystą raczej, niż światłem. W powietrzu srebrnie było, lecz jeszcze ciemnawo. W srebrzystej, lecz jeszcze ciemnawej mgłę cicho stały wysokie malwy i georginie ogródka, w którym siedział na ławce człowiek nieruchomy, jak rzeźba z szarego kamienia. Czasem tylko czynił on ruch bardzo dziwny: wielką pięść, mocno ściśniętą, od kolana odrywał i czynił nią w powietrzu znak groźby, poczem znowu z ciężkością kamienia opadała mu na kolana. Cerę miał w mgłę srebrzystej tak szarą, jak kamienie przydrożne, a pospolite rysy tak zaostrome, jakby je w taki śpiczasty sposób ociosało dłuto jakiegoś gwałtowne i razem misterne. Było to dłuto śmierci, która weszła do jego małego domu i zabiła mu syna. Tłumik szepczących kobiet stał przy płocie ogródka.

— Od rana tak siedzi, jak pień, do nikogo słówka wymówić nie chcąc!

— Już ja tam niejedną raz chodziłam, prosiłam, perswadowałam, wołam Boską przypominałam, a on nic! Jakby ogłuchł i oniemiał! W ziemię patrzy i dyszy ciężko, jak na śmierć obity pies!

— Syna takiego stracić, co już mu pomocnikiem i przyjacielem był, nie żarty! Ale zawsze, żeby pomodlił się, z ludźmi pogadał...

— Może mowę mu odjęło!

— Albo rozum?

— Patrzcie tylko, moje kochane, jak on pięścią wygraża się w powietrzu! Zupełnie jak waryat!

— A bo i ksiądz proboszcz, jak stąd odchodził, powiedział: „Bieda z tym człowiekiem! Jeżeli nie zapłacze, może zwaryować!” Mówił do niego długo o różnych świętych rzeczach, modlitwy mu czytał, aż przybiegli wołać go, żeby jechał do chorego, więc poszedł i mnie samej powiedział: „Bieda z nim! Jeżeli nie zapłacze i nie pomodli się, może zwaryować!”

Ten, o którym kobiety szeptały, siedział ciągle, jak kamień, czasem tylko pięścią ściśniętą komuś lub czemuś w powietrzu grożąc. Nie patrzył na księżyc, ani na krzyż, którego ramiona, wyciągnięte nad dachami domostw, widać stąd było w coraz jaśniejszej mgłę księżycowej.

Nie patrzyła także na krzyż, choć przez malutkie okno widzieć go mogła, kobieta w izdebce ciasnej, na bardzo ubogiej pościeli leżąca. Promień księżycy padał na głowę, która w gęstwinie czarnych włosów zagłębiała się w poduszkę z twarzą obróconą ku grubym belkom sufitu, wśród których żyły mnogie ludy pajęczce i musze. Na wychudłych rysach paralityczki, w ustach jej zaciętych, w oczach ciemnym ogniem gorejących, malowała się ponura złość i rozpacz. Od paru już lat leży tak w tej izdebce sama jedna, przez litość ludzką żywiona i dogładana, wiecznie sama jedna i czegoś potrzebująca, a nie mająca. Srogie bóle ciała mniej udręczenia jej sprawiają, niż ta szyderska gorycz, której ma pełne usta i serce. Bo czy podobna, aby ją tak zapomnieli i opuścili wszyscy, których kochała i którym służyła? I gdzie są ci, których dobra strzegła, żądania spełniała, choroby pielęgnowała, straty oplakiwała, jak własne? Bezwładne nogi bolą ją często, lecz jeszcze częściej samotne i zawiedzione serce. Po całych dniach i nocach leży tak sama jedna, czasem głodna, wspominając i tęskniąc, myśląc:

— Czy ludzi dobrych niema na świecie? Czy Boga niema w niebie?

Raz noc jakaś, straszniejsza nad inne, odpowiedziała:

— Chyba niema!

I od tej nocy złość przedtem nieznaną żądłem żmii kąsa jej serce, i przekleństwa, których dawniej nie było w niej ani śladu, jak gady ogniste przepelzają przez głowę. Żebyż choć ciszę i spokój miała! Ale gdzie tam! Ot i teraz jakąż piekielną wrzawę u samych jej drzwi podnosi właścicielka tej chaty z nędzną swą lokatorką! Obie są nędzarkami. Ta Obuchowska chatę ma, lecz po dach zanurzoną w długach, a tamta druga dzieci dwoje, ale których karmić czem nie ma. Wiecznie też szczęście swoje nawzajem sobie wyrzucają.

— Żebym ja miała chatę własną, czegobym więcej chciała! — mówi jedna.

— Żebym ja miała dzieci, czegobym więcej chciała! — odpowiada tamta.

— Niech pani moje dzieci wyżywi i przyodzieje!

— A ty zapłać moje długi!

I od słowa do słowa wszczynają się hałas ot taki, jak w tej chwili. Boże! jak krzyczą i jakimi słowami obelżywymi wzajem na siebie, jak gradem brudnym, sypią! I słuchać tego trzeba, uciec nie można!

W głowie, która coraz ciężiej zagłębiała się w poduszkę, przewinęło się przekleństwo, które z cicha powtórzyły spieczone wargi. A potem powstały w niej zapytania:

— Czy ludzi dobrych na świecie niema? Czy Boga niema w niebie?

Aż mętna, ponura, do cielska chmury ciężkiej podobna, przyplęnęła myśl:

— Chyba niema!

I przed oczyma paralityczki zasłoniło przerywaną mgłą księżycową wysoką linię krzyża.

Księżyc ukazał się zza czarnej ściany kościoła i zwolna płynąć zaczął ku szczytowi jego wysmukłej wieży. Pod ogrodzeniem kościelnym, to znikając w cieniu drzew, to wynurzając się zeń na światło, przesuwająca się postać bardzo drobna i szczególna. Byłże to karzeł, z tułowiem potwornie rozrosłym, albo garbusek, którego drobne nogi z trudnością dźwigają plecy ogromnie wydęte?

Było to dziecko, niosące na plecach ogromny wór kartofli. Z trudnością niezmierną brzemień to dźwigając, pełzło raczej, niż szło, z twarzą zwieszoną ku ziemi i oczyma utkwionymi w ziemię. Czasem postękiwało z cicha lub niżej jeszcze głowę pochylało ku rękawowi koszuli, którym ocierało z twarzy pot, czy łzy. Owad mizerny, ciągnący ku gniazdu ciężar od niego samego większy, małutki Abel, na którego jakiś Kain ciężar ten zwałił — symbol ludzkości, dźwigającej na barkach brzemień swojej doli!

Z coraz większą trudnością dźwigając i coraz niżej chyląc się ku ziemi, dziecko z worem kartofli na plecach wypelzło z pod ogrodzenia kościelnego, przepelzło otwartą przestrzeń rynku i — jak człowiek z brzemieniem swym w czeluści grobu — zniknęło w wązkiej i ciemnej uliczce.

Wtedy księżyc ominął już szczyt wieży kościelnej i z pośrodku nieba lał na ziemię powódź światłości jasnej, czystej, srebrnej, niewymownie słodkiej.

Rozciągnął także kobierzec srebrny na grubej podłodze i kroplami srebra nappełnił ciemne kąty gościnnego pokoju w zajezdnym domu Mendla Szapira, ale kobiety, która z twarzą zanurzoną w poduszkę leżała na żółtej kanapie, najmniejszym promykiem nie dotknął. W cieniu i nieruchoma wydawała się pogrążona we śnie, albo w takiej otchłani zamyślenia, z której dna nie widać i nie słychać świata.

Jednak ze świata, zdala, uszu jej doleciał dźwięk pocztowego dzwonka, bardzo słaby, potem coraz wyraźniejszy. Ktoś tam jedzie tą drogą przez pola biegnącą, którą ona tu przybyła, ale co ją to wszystko na świecie i obchodzić może? Wtem, ostrzem sztyletu serca jej dotknęła najniespodziewańsza dla niej z myśli:

— Może to on...

Ostatnie słowo myśli utonęło w krótkim śmiechu ironicznym, który wzięła w siebie róża monstrualna, wyszyta na starej poduszce. Ironia śmiechem parsknęła w oczy sercu, które zdobyć się mogło na tak nierozsądną, szaloną nadzieję. On tu? Po co? W pogoni za nią? Trzeba by na to cudu!

Odgłos dzwonka stawał się coraz silniejszym, zbliżał się coraz więcej. Kobieta podniosła głowę; wyprostował ją słaby, lecz nieodparty szepet najnierozsądniejszej z nadziei.

— Może...

A ironia znowu w twarz nadziei parsknęła śmiechem.

— Ananasy! Rajske ptaki! Drzewa śpiewające i wody leczące! Bajki! On miałby za tobą, dla ciebie tu... Cudu by trzeba!

Dzwonek stał się prawie przeraźliwie głośnym i umilkł — przed gankiem zajezdnego domu Mendla Szapira. Kobieta ruchem nagłym podniosła się z kanapy.

— Tu!...

Był to okrzyk nadziei, który ironia zdławiła pytaniem:

— Więc cóż? Alboż to raj wybranych? Upamiętaj się! To dom zajezdny!

Nie! Nie! Czyjeś kroki w sieniach... i głos! Czyj? Boże! To jego głos! Jej imię wymawia! O nią zapytuje! Cud stał się.

Krawędź stołu ściskając mocno w delikatnej dłoni, z cieniu, w którym stała, głowę wychyliła na światło księżycy.

— Pan... tu?

Powiedziała to, jak człowiek, który widzi, ale oczom nie dowierza. Jednak było to prawdą. Po srebrnej płachcie zaścielającej podłogę prędko szedł ku niej i podał jej rękę.

— Pan tu? Jakim sposobem? Dlaczego?

— Jakim sposobem? dlaczego? — powtórzył tym głosem, o którym myślała, że nigdy go już nie usłyszy, i zaśmiał się tym śmiechem, za którego perłowe dźwięki oddałyby chętnie huczne oklaski, których pełno bywało wszędzie, gdziekolwiek bywała.

Siadając, wesoło i swobodnie, z radością w głosie, mówił:

— Panią dziwi, że tu przyjechałem? Dlaczego to panią dziwi? Rzecz tak prosta! Nie znalazłem pani tam, gdzie zostawiłem, i puściłem się w pogoń za zbiegiem. Byłbym tak, dowiadując się, zapytując, jechał aż za granicę świata, bo na sam koniec jego, zdaje się, że już przybyłem. Lecz bagaż, który przywożę ze sobą, pełen jest gniewu, kłótni, wyrzutów...

O gniewie i kłótni mówiąc, ruchem wytwornym wziął jej rękę i do ust przycisnął. W niskim pochyleniu się pięknej głowy była cześć, w długim pocałunku ust gorących — miłość. Jedną i drugą uczuła i, zwiędła w przebytej męce, rozkwitła rumieńcem i uśmiechem; lecz od nagiego załamania się linii losu drżąca jeszcze rzekła:

— Gniew! wyrzuty! Za co?

— Za niepokój ogromny, zawód, tęsknotę, żal...

— Czyje?

— Pani nie odgaduje? nie domyśla się? nie wie?

— Domyśli i odgadują napęniały mi tak długo wszystkie dni miesiący i wszystkie minuty dni...

— Mnie także... — przerwał.

— Więc pan nie wiedział? — zapytała.

— Wiedziałem zrana, wątpiłem wieczorem. Każda minuta przynosiła mi zapytanie: czy podobna? A druga odpowiadała raz: „to jest”, a dziesięć razy „to być nie może!”

— Moje minuty tak samo z sobą rozmawiały...

— Pani tak sławna!... Ja, z roju owadów zupełnie do siebie podobnych...

— A pan z tak wysoka... ja zaś ze stada ptaków, których śpiewu wszyscy słuchają chętnie, lecz z którymi w parze nikt długo lecieć nie chce, może dlatego, że lot ich zbyt górny...

— Milczałem, myśląc: nie jestem godny! W pokorze mojej była duma.

— A ja myślałam: nie jestem kochaną! Milczałam. Czekałam słowa...

— I nigdy, nigdy, w tych długich, drogich niezapomnianych rozmowach naszych nie zaplątało się ono na ustach pani, ani moich...

— I nigdy w tych długich, cudnych, najdroższych godzinach, któreśmy z sobą spędzili, nie było minuty, w którejby „serce do serca mówiło!”

— Dlatego więc wyjechałaś... zniknęłaś?...

— O, nie! Moim jest wyraz: zniknął! Ja to od obudzenia się do zaśnięcia, od tyłu już dni mówię sobie: „zniknął!” Kiedy pan pojechał do rodzinnych stron swoich i tak nieskończenie długo nie powracał... cóż dziwnego? najdroższy brylant tego wysokiego gniazda!... wieść przyleciała, że w pierścień życia pana oprawioną ma być perła...

— Uwierzyła pani?

— Uwierzyłam. Nie jest-że to prawdą?

— Prawdą jest, że przyszła chwila zwątpienia i męki serdecznej, w której powiedziałem sobie: dosyć tego! Targnę z całej siły nicią, coraz głębiej wrzynającą się w serce,

i zerwę ją... puszczę się na poszukiwanie Lety i zapomnę!... Czasu wiele upłynęło... nic nie zerwałem, nie zapomniałem, wróciłem i to miejsce, na którym pozostało wszystko, co mi być może ukochane, pożądane, znalazłem puste! Odjechała! uciekła! Gdybym miał skrzydła, leciałbym; że ich nie mam — człowiek biedny! więc oślepy od przestrachu, z pośpiechu ludzi roztrzając, wpadłem do wagonu i leciałem na skrzydle pary...

— A perła? — zapytała nieśmiało.

— Zostawiłem ją do oprawienia w pierścień życia z brylantem innym, najpewniej drogocenniejszym nademnie.

— Tak! — przeciągle wymówiła. — Więc tak! A ja myślałam...

Zanurzyła się cała w cieniu i cicho dokończyła:

— Że ta nić, na której zawiesiłam życie, była — pajęczyną!

— I dlatego, porzucając wszystko, wyjechałaś w tę podróż dziwną! O! niedobra! nieufna! Tak mało wierząca potędzie własnego czaru, a tak łatwowierna dla latających po świecie wieści lekkomyślnych! Odjechać! I dokąd jeszcze? Na tę pustynię! Na ten koniec świata! Do tego zakąta pustego, brzydkiego... Czy to dobrze? Czy tak czynić powinny istoty tak miłe światu, tak śliczne, słynne, a nadewszystko takie dobre... dobre!...

Ręce jej pocałunkami osypywał, a potem, rozglądając się dokoła, wesoło zawołał:

— Ależ ten zakąt nie jest wcale brzydkim! Przeciwnie! Jest to miejsce wprost czarowane! Przyozdabianiem go trudnią się chyba jakieś dobre wieszczki!

Dobrą wieszczką był księżyc, który napełniał pokój światłością niewymownie przejrzystą i słodką, wszystkie jego brudy i plamy przerabiając na czarnoksiężskie ozdoby. Podłogę zaściewał kobierzec z blade-złoty sieci upleciony, po ścianach, jak gnomki lotne i figlarne, migotały błyskotliwe promyki i kółka, u progu, żdźbła słomy jaśniały jak wyrzucone z bajecznego skarbcza sztabki metali drogocennych, w rozbitym kloszu starej lampy żarzyło się ognisko iskier, od którego drżących blasków płatki papierowych kwiatów ożyły żółtością gorącą, bielą śnieżystą, i jak w powiewie wonnego wiatru, zdawały się drżeć... wonnego wiatru, bo przez okno, z coraz świeższym oddechem wieczoru, wlatywał coraz silniejszy zapach rezedy. Dobrą też wieszczką, cudnie w tej chwili strojącą ten pokój, była radość wielka, bijąca z jego pięknej twarzy, której rysy, wrzątkiem młodego życia przepojone, śmiać się lubiły, cierpieć nie chciały. Znalazł to, co mu było przepadło, nawiązał to, co wydawało się zerwanem, i radość na spółkę z księżycem otoczyła go czarami zdobytego rajy.

Z nią jednak było inaczej. Silniej ścięta lodem życia, nie tak łatwo tajała w ciepłe wschodzącego słońca; cierpienie silniejsze wrosło w nią głębiej i pierwsza minuta szczęścia wyrwać go z niej nie mogła. Nie było uśmiechu w jej głosie, gdy z cienia, który ją okrywał, mówić zaczęła:

— Pan mówi: „w tę dziwną podróż!” Była ona jedyną, którą przedsięwziąć mogłam. Pan wie: wszystkie drogi stoją przedemną otworem. Dla ptaka, który wysoko lecąc pięknie śpiewa, wszystkie bramy i drogi — pełno żeru — stoją otworem. Ale ja nie chciałam już nikogo, niczego, oprócz wolności dla ust, które bolały od uśmiechów koniecznych, i dla wzroku, który patrząc na życie nudniał i szarzał, bo życie stało się nudne i szare, odkąd pan z niego zniknął...

— Pan! — przerwał z wyrzutem.

— Tak długo wyraz ten stał pomiędzy nami, że odrazu — nie mogę... Jechałam tam, gdzie mogłam najwięcej milczeć i najmniej widzieć życia, bo doprawdy, przez tak wiele czasu razem z panem przebywając w jego wrzątku, tak strasznie przywykłam mówić sobie o wszystkim ujrzanem: jemu to pokażę! o wszystkim usłyszanem: jemu to powtórzę! o wszystkim trudnem: dla niego to wykonam! i o wszystkim miłym: z nim się tem podzielę! o każdej myśli: jemu ją powierzę! o każdej pieśni: jemu ją zaśpiewam! że... gdy mi pana zabrakło, już nie wiedziałam, co mam czynić z ziemią i niebem, z samą sobą, ze swoim sercem, ze swoją myślą i pieśnią... Ach, niedobry! dlaczego nie powiedziałeś mi, że to była tylko próba rozstania się na zawsze? Byłabym nie mówiła sobie: »już nigdy! « Niekiedy czyniłam ci w myśli wyrzuty: żeby tak wejść w czyjeś życie, tyle w niem zając miejsca i — zniknąć! Żeby tak zabrać sobie czyjs wzrok, słuch, pamięć, nadzieję — i zniknąć! Żeby tak uczynić, że komuś nikt już na świecie podobać się, ani miłym być nie może — i zniknąć!... O, Boże! ja tak mówić pewno nie powinnam, ale w milczeniu to wezbrało i przyjechałeś do mnie... za mną... wróciłeś, więc powiem! Tyś mi był światłem

oczu, czarem serca, uśmiechem ust i powabem życia, które bez ciebie rozumieć przestałam. Byłeś celem, ku któremu płynęły myśli i godziny moje, siłą pieśni, gdy śpiewałam, wschodem radości, gdy otwierałam oczy na dzień wschodzący, i ostatnim obrazem, który tkwił pod powiekami, gdy zamykałam je do snu, pełnego snów o tobie! Aż nagle: niema! Zniknął! Był snem, który się prześnił, strofą, która przebrzmiała, mirażem, który zaszedł drogę, aby gorzkim prochem wspomnień opaść na piaski pustyni! Co zrobić? Umrzeć? Ty wiesz! ja wierzę w Boga, który dał życie, a po co? spierać się z Nim nie wolno? I mam matkę... siostry... szczególnie matkę... Więc żyć? Dobrze; ale tylko tam, gdzie wolno milczeć najwięcej, nie uśmiechać się wcale i życia widzieć najmniej. Jechałam do rodzinnego domu, pustego, prawie nikomu niewiadomego, szczęśliwa jeszcze tem, że posiadam ten port wolności dla serca i myśli, które nic innego czuć i mówić nie chciały, oprócz tych krótkich słów: niema! zniknął!

W cieniu niewidzialna, zaniosła się ciężkim płaczem, a on z radością bez granic mówić zaczął:

— Jestem! Ależ jestem już przy tobie! Ucisza serce, które nie może przestać płakać. Czy podobna? Czy podobna, abyś aż tak... tak niezmiernie... W najzuchwalszych rojeniach moich nie śniłem, abyś aż tak... O, szalony! wątpilem... byłem nawet zwątpił zupełnie... O mało w dumie mojej, a twojej czystości nie utonęło nam szczęście! Niechże błogosławioną będzie chwila, w której puściłem się w pogoń za tobą!

— Niech błogosławioną będzie każda, która cię do mnie przybliżała!

Potem zaczął prosić:

— Wstań i wyjdź na światło. Jesteś pogrążona w cieniu i widzę cię niezupełnie. Czy to światło księżycy pokazuje cię tak mizerną i zmienioną? Nigdy, nigdy już nie zniknę, aby kwiat mój nie więdł. Tak dawno nie widziałem cię i nie słyszałem twego śpiewu. Twój śpiew, to skrzydła, na których wzbijałem się nad samego siebie, zdrój czysty, w którym serce stawalo mi się lepszym i dusza zdrowszą. Może cokolwiek zaśpiewasz? To, co najwięcej lubię, pamiętasz? zaśpiewaj!

— Dobrze — odpowiedziała; — czuję w sobie morze tonów, którymi chcę dziękować Bogu, że mi cię oddał, i tobie, żeś — nie zniknął!

Z morzem tonów dziękczynnych w piersi powstała i z ręką w jego rękę, cała w idylli światła księżycowych, woni rezedowej i swojej szczęśliwej miłości, szła ku oknu, otwartemu na przeczyste i promieniste sklepienie nieba.

Wtem, tuż nad sobą, usłyszała głośnie, szorstkie, chrapliwe dźwięki.

— Może samowar przynieść?

Przerażonym ruchem podniosła głowę i zobaczyła stojącą nad żółtą kanapą Gitle, w krótkiej spódnicy i podartym kaftanie, która w ciemnych rękach trzymając koniec olbrzymiej kosi czarnej, powtórzyła:

— Może samowar przynieść?

Ze wzrastającym przerażeniem, prawie z obłąkaniem zawołała:

— Nie chcę! Dziękuję! Nie potrzebuję niczego!

Dziewczyna odeszła, pokój pozostał pusty. Były w nim światła księżycowe, woń rezedy, żdźbła słomy, błyszczące u progu, jak sztabki srebra i złota, w rozbitym kloszu ognisko iskier i wskrzeszane przez jego migotliwe błyski kwiaty papierowe, — ale człowieka żadnego nie było.

Spała i śniła...

A rzeczywistością pozostało to, że zniknął.

Piękny, świetny, wymowny, zapewne wesoły, żył kędyś, ale już nie dla niej. Nietylko przez śmierć cielesną ludzie ludziom umierają, ale i na różne sposoby inne. Żył kędyś, zapewne szczęśliwy, lecz ją odumarł i z tamtego świata przyszedł we śnie poprosić: zaśpiewaj! Śpiew jej lubił niezmiernie i było to właśnie przyczyną złudzenia, które padało jej na oczy, gdy roiała, że ją samą nad wszystko w świecie polubił. Ten śpiew był dla niej skarbem nieprzebrany, gwiazdą odznaczenia, którą Bóg nad czołem jej zapalił, puklerzem, którym osłonił jej słabe serce.

Lecz gdy on odszedł, mniemała, że wszystkie tony i wzloty, uniesienia i natchnienia, odleciały ją także na zawsze. Pod wielką biedą, która jak postać kamienna legła na jej sercu, stało się w niem cicho, jak w pustym sarkofagu. Ani echa żadnej pieśni, ani chęci

wywołania jej z próżni duszy, dla pustki świata. Nagle, przyszedł we śnie i poprosił: zaśpiewaj! a prośba jego nawet wysniona, wskrzesiła w niej to, o czym myślała, że umarło. Wstała i z opuszczonymi na suknię rękoma, jak lunatyczka szła ku jaśniejszej za oknem tarczy księżycowej. Po co Bóg, w życiu odbierając na zawsze, we śnie zwraca na chwilę to, co najmilsze? Może po to, aby miecz wyostrozony przez złudę, bódl śpiewaków do śpiewu.

Stała przed oknem, oczyma powiodła po niebie i ziemi, opuszczone ręce silnie spłótła i z piersi jej wybuchnęła ogromna fala tonów. Śpiew, jak krew, czerwony i wrzący, wytrysnął z jej rany serdecznej, której wargi otwierały się i zamykały ruchem nieukojonym, bo nie spływała na nie żadna kropla balsamu. Był to krzyk, ale ujęty w formę wielkiego piękna i kaskadami tonów wypowiadający światu tę najprawdziwszą prawdę światu, którą jest cierpienie. Bo wszystko może być uludą, tylko ono jest rzeczywistością, wszystko może ominąć, tylko ono nie zawodzi, wszystko przemija, ono trwa, wszystko zjawia się gdzieś indziej, ono jest wszędzie. Śpiewaczka opiewała je, opiewając samą siebie; głos jej przeczysty i potężny roznosił w srebrnym powietrzu powszechny tragizm istnienia. Były z niego groza i męka; ze srebrnych przestworzy, wśród których wołał, szalał, rozpaczał, głębokimi tonami konania opadł na ziemię i wił się po niej, jak po łożu tortur.

Na ziemi, na niskim jej padole, Ruchla, która, biegając po izbie, prowadziła z mężem zawziętą kłótnię, stanęła i zaszeptwała:

— Co to jest?

A Mendel Szapir, który w czapce przekrzywionej na głowie gotował się do przeskokowania progu izby, stanął także i powtórzył:

— Co to jest?

Chwilę słuchali; potem Ruchla cicho przemówiła:

— Pójdźmy na ganek, Mendlu; stamtąd lepiej słyhać!

O dziwy! Ruchla cicho i łagodnie przemówiła! Wyszli na ganek. Kiedy przechodzili sień prawie ciemną, u zamkniętych drzwi śpiewaczki coś zaszeleściło i do ziemi przypa-
dło; była to Gitla, ale oni jej nie spostrzegli. Wyszli na ganek i stojąc słuchali.

Mendel zakołysał głową.

— To ona tak śpiewa!

— Pięknie śpiewa! — zaszeptwała Ruchla, a potem dodała:

— Ot szczęśliwa! Takie brylanty i takie śpiewanie mieć!

Jej grube ramiona pod brzydkiem kaftanem zadrgały, w tłustej twarzy coś zadrgało; oczy podniosła w górę i zaszeptwała:

— Widzisz, Mendlu, jaki piękny księżyc?

On już go sam zobaczył i, zawsze ruchliwy, teraz stał jak skamieniały, słuchając śpiewu i patrząc w górę.

Wtedy także, w domostwie innym, poważny Chaim Cygler i żona jego, Małka, podnieśli głowy z nad wielkiej księgi rachunkowej, a że byli małżeństwem zgodnym, jednomyślnie wymówili:

— Ktoś bardzo pięknie śpiewa!

Chcieli rachować dalej, lecz coś im przeszkadzało, cyfry i myśl mąciło. Wstali i jednomyślnie na ganek domu wyszli.

Tam po chwili Małka rzekła:

— Ja wiem, kto to taki, rozpytałam się. To taka wielka śpiewaczka, co to jej ludzie za śpiewanie wielkie pieniądze płacą. Tak pięknie śpiewać i jeszcze za to wielkie pieniądze brać! Ot, szczęśliwa!

— A czemu ona tek smutnie śpiewa, kiedy szczęśliwa? — zapytał Chaim. Małka westchnęła.

— Mnie to śpiewanie do samego serca idzie!

A mnie się zdaje, że ono dostaje się do samego nieba. Czy ty widzisz, Małka, jak księżyc pięknie świeci?

Śpiew nagle umilkł; nikt ze słuchaczy nie wiedział, co, jak miecz nitkę, głos ten przecięło. Było to łkanie — płacz serdeczny, który twarz śpiewaczki nisko na obie dłonie pochylił. Kilka minut upłynęło, zanim ją podniosła znowu, całą oblaną strumieniem lez rześsistych.

Lecz w łzach i tonach tajało może serce, zawzięcie dotąd ścinane ciężkim bólem, bo gdy śpiew rozległ się znowu, z głosu śpiewaczki zniknął tragizm ponury, a zastąpiła go szeroka pieśń liry, bogatej w giętkie struny i bezbrzeżnie smutnej. Z twarzą oblaną łzami, które posrebrzał księżyc, artystka sławna i kobieta nieszczęśliwa śpiewała o swoim śnie najmiłszym, który daleko na fali podstępnej odpłynął, o zamku zaczarowanym, który runął w gruzy, o mirażu, który na drodze życia ją zaszedł i pierzchnął, o swoim sercu, które długo kołysało się na nitce pajęczej, aż z niej spadło i teraz pieśnią bezbrzeżnie smutną skarżyło się, że była tylko pajęczą. Pieśń szeroka i tęskna, nie z popędliwych kaskad tonów, nie z rozpaczliwych krzyków, jak przedtem, lecz z długich frazesów muzycznych, z nieskończonych trelów słowicznych, z zapytań bijących w niebo i z westchnień w przestworza słanych złożona, płynęła rzeką, w której odbijały się blaski rajy i płomienie stróżujących u wrót jego skrzydeł archanielskich. Archanioł od wrót zamkniętych oddalał serce ludzkie, biedne i słabe, z którego jednak geniusz sztuki dobywał niezmierną siłę pieśni. Rzeką tęsknoty i żalu pieśń ta płynęła nad rynkiem miasteczka.

Rynek otoczył się teraz wieńcem światełek mglistych, czerwonych, palących się za oknami domostw. W srebrzystej jasności księżycy wyglądały one, jak wieniec oczu mrugających, splakanych, uważnych. Zdawały się uważnie słuchać pieśni i coraz więcej zczzerwieniać się od tych łez, których była pełną. Uważnie też słuchały postacie coraz tłumniej napelniające ganki domów, ciemne i nieruchome w srebrnym świetle. Coś poruszyło się w mrowisku i zza szczelnie zamkniętych okien wypychało żyjące w niem istoty na jasną i świeżą przestrzeń. A dalej, u końca ustronnej uliczki, z jaskrawymi twarzami obróconymi na księżyc, proste i nieruchome uważnie zdawały się słuchać pieśni malwy i georginie ogródka, w którym siedział człowiek, podobny do rzeźby z szarego kamienia. Ten nie zaraz usłyszał, lecz, gdy usłyszał, uważnie słuchać zaczął i po kilku minutach twarz z rysami zaostrozonymi przez dłuto nieszczęścia rękawem odzieży zakrywszy, na sposób prostaczy, głośnym płaczem ryknął. Po raz pierwszy zapłakał nad bladą głową syna, która spokojnie leżała na wezgielcu trumny, w domku teraz cichym i zarazem oczy jego, wznosząc się ku górze, spotkały wysoko nad dachami rozpostarte w srebrnej jasności ramiona krzyża. Patrzył na krzyż i słuchał pieśni; stojące w pobliżu, cieniem drzew okryte kobiety zaszepotały:

— Dzięki Bogu! zapłakał! nie zwarjuje!

Jedna zauważyła:

— To przez to śpiewanie! Takie śpiewanie, to królowanie; wszystko, co chce, dokazuje z ludźmi. Oto szczęśliwa ta, co niem władnie!

W ciasnej izdebce, na barłogu, goryczą zalane wargi paralityczki szeptały także:

— Szczęśliwa!

Znając nieco świat szeroki, wiedziała, kim były te istoty władające pieśnią, przechodzące drogę życia pod łukami tryumfalnymi, w burzach oklasków i ulewach kwiatów. Pewno młoda, skoro ma w głosie taką świeżość i siłę, bogata, sławna... jakże szczęśliwa! Jednak czemuż tak smutnie śpiewa? Śpiew ten kołysze duszę zranioną, jak matka dziecię chore, i na tonach, jak w ramionach, podnosi ją coraz wyżej.

Oczy oddawna palące się w gniewie i rozpacz podnosiła coraz wyżej, aż oddawna po raz pierwszy spotkała się niemi z przerywającą srebrzyste powietrze linią krzyża.

Wtem śpiew znowu umilkł, raczej urwał się w połowie tonu. Srebrne powietrze zaległa wielka cisza. Cicho na gankach domostw stały ciemne postaci ludzkie i czerwone światełka, otaczające rynek, tylko mruganiem zdawały się wołać:

— Śpiewaj jeszcze! śpiewaj!

Śpiewaczka milczała. W połowie tonu podniosła wzrok ku górze i spostrzegła krzyż. Długo milczała, myślała; wzrok jej wzbijał się wyżej, coraz wyżej, nad szczyt krzyża, nad wieżę kościelną, aż ku najwyższemu punktowi przestworza, ku temu, na którym przed wzrokiem ludzkim zapada granica widzenia.

Tam, ku nieznanemu jądro świata i niepojętej przyczynie jego mąk i dążeń, ku tej najwyższej tablicy praw, na której długie szeregi wieków i pokoleń krwawymi zgłoskami i prastarą mową ryły słowa jak niemoc pokorne: *Fiat voluntas Tua*, posłała na promieniach oczu zaplakanych całą swoją tak biedną, a przecież tak bogatą duszę.

Gdy zaczęła śpiewać znowu, w powietrzu srebrnym rozległa się prośba tak wspaniała i szeroka, że zdawała się ogarniać ziemię z całą powszechnością jej cierpienia i niebo z całym majestatem jego bezdennej głębi.

Wtedy uczuła, że sukni jej dotykają jakieś ręce i tuli się do niej jakaś głowa. Spojrzała w dół i zobaczyła niedużą postać, u stóp jej klęczącą. Była to Gitla, która cicho wsunęła się do pokoju i, jak lękliwie kocię przesunawszy się pod ścianą, do kolan jej przypadła. Śpiewaczka po chwili patrzenia rękę opuściła na jej głowę; szmaragd pierścionka, jak zielony ogień błysnął i biała ręka zajaśniała na kruczonych włosach, a zarazem rozległo się w przestrzeni potężniejsze jeszcze, niż przedtem, wołanie z ziemi do nieba o ukojenie ran, o przebaczenie win, o światłość dla ciemności, o nadzieję dla rozpacz, o ratunek dla ginących, o obronę dla tratowanych, o moc życia i śpiewania dla tych, których usta nużą się od słów, bolą od uśmiechów.

Na ganku domu Ruchla cicho mówiła:

— Już ja z tobą, Mendlu, chcę pogodzić się. Jak to można się klócić, kiedy świat taki piękny i takie piękne śpiewanie na nim jest!

A Mendel, z twarzą całą w drganiach nerwowych na żonę patrząc, zdziwił się bardzo; bo oczy, którymi na niego patrzała, były znowu tak szafirowe, jak kiedy miała lat dwadzieścia.

Zaś poważny Chaim Cygler rzekł do żony:

— Małka! Możeby tej Obuchowskiej nie tydzień, ale jeszcze miesiąc na ten dług poczekać?

— Ty na niego, Chaimie, już dwa miesiące poczekać — odpowiedziała Małka; a że byli małżeństwem zgodnym, więc jednomyślnie spojrzeli w górę i szepnęli:

— Pan Bóg jest wielki!

Śpiewaczka wydało się, że pod dłonią, opartą na włosach klęczącej dziewczyny, czuje bicie jej serca. Spojrzała w dół. Kto to jest? Co to za metamorfoza? Gitla, klęcząc ciągle, wyprostowała się, twarz na światło księżyca obróciła i z czarną kosą w splecionych u piersi rękach, z rajska słodyczą w ogromnych oczach, z uśmiechem zachwycenia, rozwierającym koralowe wargi, wyglądała jak zaczarowany w słodką postać dziewczęcia duch modlitwy i ekstazy. Od tej słuchaczki śpiewaczka wzrok oderwała i potoczyła nim dokoła. W księżycowym świetle ciemne, nieme, zasłuchane, stały na gankach domostw garstki postaci ludzkich, a pomiędzy plamami, które one rzucały na srebrzystą przestrzeń, światełka okien zdawały się naokół mrugać i prosić:

— Śpiewaj! Śpiewaj!

Śpiewała. Wstąpiło w nią to uczucie panowania nad duszami, które mistrzów słowa i dźwięku z dolin nieszczęścia wzbija na szczyty przedtem niedostępne. W kobiecie nieszczęśliwej obudziła się artystka i uderzyła w nutę odwagi i wytrwania. Geniusz sztuki porwał jej serce zranione i przypiął mu skrzydła niezłomne, które roztoczywszy wzbija się nad swoje lzy i bóle, w srebrnym przestworzu, nad ciemnym mrowiskiem lecąc wysoko i rozlewając z wysoka pieśń pociechy, odwagi i siły.

W uliczce, podobnej do czarnej czeluści, pociecha — gość rzadki — uśmiechem wykwitła na drobnej twarzy dziecka, które niedawno ciężki wór kartofli zrzuciło z pleców i teraz z plecami bolącymi, zziębniętymi, siedziało pod spróchniałym płotem z kromką czarnego chleba przy wybladłych ustach. Od kilku minut już nie jadło chleba, choć było głodne. Dziwiło się, nie wiedząc samo, czemu się dziwi. Tak jasno na świecie, ktoś tak głośno śpiewa, a wysoko nad dachami sąsiadów widać krzyż, błyszczący jak srebro. Małutki symbol ludzkości, który na chwilę zrzucił z barku swoje wielkie brzemie, przestał na chwilę także czuć, że plecy go bolą, chudem ramieniem wsparty o płot gnijący, z podniesioną twarzą, po której skórze bladej błędził promyk księżyca, uśmiechał się, patrząc w górę i — słuchając pieśni.

Artystka śpiewała...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/moment/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0629-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).